



Stanisław
Przybyszewski

NAD MORZEM

- Kultura i Sztuka -
EXERIM.pl

Stanisław Przybyszewski



Nad morzem

Opracowanie informatyczne: Mirosław Kukła
w ramach Niezależnego Portalu Kultury i Sztuki Exerim.pl.
Zdjęcie na okładkę: Justyna Diablica.

Exerim 2018
0008-I | 2018-1 | V-PDF

Modlitwa

Ty, która w czarne sny moje świetlanymi palcami wplatasz piękność
wiedniejących jesieni, blaski okwitłych przepychów, spiekłe farby ogniem
trawionych rajów —

O jasna moja —

wiele bólu się prześniło, odkąd Cię po raz ostatni widziałem, ale wciąż jeszcze
lśni me serce od gwiazd, któreś w me życie rozsiała, wciąż jeszcze rwą się
z krwi mojej błagające ręce ku szczęściu, któreś mi kiedyś w duszy rozpałała.

Ty, która w ciemnej pomroce cichymi rękami przedziesz mi na zaczarowanych
harfach ciężką zadumę o chwilach rozkoszy, co w morzu tonąc, iskrzą się
na zachodzie krwawą rosą, o nocach, co do ciepłych piersi tulą serca zbolełe
—

O jasna moja —

już tyle razy słońce zapadło, odkąd kołtaś czarownymi pieśniami smutek mej
duszy, a wciąż jeszcze widzę w ciemnej pomroce Twe oczy, jak się żarzą
w nieziemskim zachwycie, i jasną rękę widzę, jak się ku mnie wysuwa
i w płonącym krzyku chwyta za moją.

Ty, która mi burz nocę na dni pogody przemieniasz, w głębiach snu zagaszasz
czary jawu, w bezbrzeżne dale odsuwasz pobliza — która mi w sercu błędne
ognie rozpalasz i czarne kwiecie ku życiu niecisz —

O jasna moja —

już tysiąc razy świat się przeobraził, odkąd Tve ostatnie spojrzenie chłonęło gasnące blaski mej duszy, a wciąż jeszcze widzę Twą drobną twarz dziecka i złotą koronę jedwabnych włosów wokół twej skroni, widzę, jak dwie łzy spłynęły w blady uśmiech, co tlał na Twych ustach, i słyszę, jak głos Twój ciemną skargą się krwawi.

Ty, która mi rozrywasz pieczęcie wszelkich tajemnic – i czytasz runy ukrytych sił, a po wszystkich szatach mego życia roztaczasz się tęczą łaski od jednego nieba do drugiego –

nigdy jeszcze nie wichrzyły się taką burzą gwiazdy moje, nigdy jeszcze nie płomieniła jasność, co Twą skroń wieńczy, tak krwawymi błyski, jak teraz, kiedyś mi w morze zapadła.

Przed Tve nogi rzucam gwiazdy moje, stopy Tve oplątam snów mych czarnych kirem, a w ręce Twoje kładę me serce – me serce.

Rapsod pierwszy

Byłem królem!

Bezkresne było państwo moje, a bez granic potęga moja.

Dziś siedzę na złomach skał, patrzę na morze i myślę o Tobie.

Morze się pieni, u nóg mych łamią się z głuchym łoskotem olbrzymie fale,
a noc tak ciemna i dżdżysta.

Zamykam oczy i słucham.

I słyszę tajemny szum – wzmagą się i opada; chwilami słyszę go gdyby
zbłąkane echo z nieskończonych oddali, to znowu wre mi w uszach gdyby
kipiący war zatorów. I nie wiem, czy to we mnie, czy poza mną ten straszny
głos burzy?

I czuję, jak szum ten staje się czarnym jękiem mej duszy. Czuję, jak zapuszcza
korzenie w najtajniejsze głębie mego serca, jak rośnie, jak naraz rozkwita
w wielki kwiat boleści. A śmieje się dziko, śmieje się zgrzytem upiorów,
rozgałęzia się w krzew, wrasta w każdy mój nerw, ssie rozkosz z mego bólu,
kipi radością nad mą niemocą, rozdziera światło mych oczu, tak że cały świat
migoce gdyby krwawy szmat purpury i w ognistych łzach się rozkrapla.

Sam jestem na świecie. Sam jedyny. Sam, bo stoję ponad wszelką burzą
i bólem. Na szczycie najwyższych gór stoję w odwiecznym śniegu, odziany
w najtajniejsze dale życia, i widzę, jak się przestrzenie rozszerzają, a cisza
wokół mnie jako jedyny wir, który wszystko pochłania i moje dziś i moje jutro,

moją rozpacz i... i... Ale otóż słyszę głuchy rozgwar; jak czarna chmura kłębi się pode mną gniew i grzech życia, a lejąc się gdyby strumień roztopionego złota spadła pierwsza błyskawica... I widzę, jak się olbrzymie skały lodu rozluźniają i z przestrachem sądu ostatecznego staczają się w dół. A trzask i łoskot i grzmot stał się ciałem, rozerwał powietrze od góry do dołu, bo nie mógł znaleźć dość miejsca. Tylko ja, ja sam stoję niewzruszony w tym strachu i gniewie i burzy, ja sam panuję nad zniszczeniem, bo nie ma bólu większego nad ten, który mi serce szarpie i nie ma strachu nad ten, co mi jadem trucizny mózg przegryza.

Ucichło...

Dwa krwawe światła na morzu. Dwa krwawe słońca, w których dwie wieczności się stopiły: – to Twoje oczy...

Piękno, niespożyte piękno jesiennej nocy nad morzem: – to Twoja piękność pra–początku, co czas i przestrzeń i mnie i Ciebie ze siebie wyłonił, piękność przedstworzenia, gdyśmy oboje w rozkosznym spowiciu spoczywali.

Cisza w mym sercu, cisza bólu, co przestał już być bólem: – to cisza smutku Twej duszy, który kiedyś promieniłaś w parne noce mej ojczyzny.

...Bo byłaś piękną i czystą i jasną, jak dusza dziecka, w której się święta ofiara chrztu dopełniła.

Bo byłaś tak przezroczystą i powiewną, jak kłosa złotych zbóż w drgającym żarze południa.

Bo byłaś tak cichą i bladą, jak oddech nocy letniej, gdy miękką rozkoszą kwitnącego bzu w rosie się rozplywa.

Siedzę na skałach i myślę o Tobie, choć obłąd me myśli chłonie...

Chciałbym Cię widzieć, jak idziesz w mrocznym blasku przez moje ciemne komnaty, jak nikniesz w lesie olbrzymich filarów mego pałacu. Och, widzieć tylko jaśnienie Twych włosów, słyszeć najdalsze, najtajniejsze echo Twego głosu, czuć niepojętą pieśczętę Twej dłoni, oddychać powietrzem, przez które spłynęłaś, pić tchnienie Twego ciała...

Z całego świata spędziłem czarowników i magów, by mi tylko Twój cień wywołali, ale na próżno kreślili czarodziejskie znaki, na próżno palili perły i myrchę w olbrzymich kadziach. Patrzałem w metalowe zwierciadła, zaklęte przez najpotężniejszych magów, patrzałem dniami całymi, aż oczy krwią mi zachodziły, by tylko ujrzeć mgłę Twoich oczu — popełniałem zbrodnie, od których mi dusza przegniła, by ubłagać króla podziemia i śmierci — wszystko, wszystko na próżno.

Szatanie! Wykreśl mnie z księgi żywota, wpisz mnie w księgę śmierci i hańby wiecznej, ale pozwól, że raz jeszcze uczuję tę rozkosz nad wszelkie rozkosze, jak pierś jej się w moją wpala, jak usta jej się w moje wpijają, jak ręce jej dyszą na mej szyi w bolesnym upojeniu.

Przepotężny władco, Słońce Szatanie, pozwól bodaj, że śledzie u łoża mego, że tylko dłoń swą na me czoło położy, że tylko jej uśmiech przez jedną sekundę w krew moją się wświeci, a dam Ci całe moje państwo, rozniosę pomór i pożogę po całym świecie, wyniszczę całe plemię ludzkie...

Ha, ha... Patrz, Ja król, Ja wielki mocarz zebrzę łaski u Ciebie, i wiem, że na próżno...

Na próżno! Tam poza mną trawia ogień moje racje.

A byłem przecież królem!

Bezkresne było państwo moje, a bez granic potęga moja. Panowałem nad pustynią i rajem, święte rzeki przerzynały sinymi bruzdami moje kraje, a trzy morza oblewały ich granice.

Miliony niewolników rzucały się przede mną na kolana i w niemej trwodze korzyły się przed synem słońca i światła.

Gdym zapragnął, to wprowadzono rzeki w nowe koryta, a pustynie zamieniono w rozkoszne raje. Gdym zapragnął, to w jednej nocy powstawały czarowne ogrody w krąg mych pałaców, a zanim miesiąc dwa razy swój bieg ukończył, sterczały groźną pychą ku niebu groby, którem dla ojców mych budował.

Najpotężniejszych mocarzy tej ziemi rzuciłem pod me stopy, bogom się odgrażałem, strącałem ich ze świętych piedestałów, bo nie było mocy, która by się mojej porównać dała i nie było potęgi, która by się z moją mierzyć mogła.

Bo byłem synem światła i słońca, a przed mym majestatem blakł wszelki blask i wszelka moc w proch się kruszyła.

Co dzień trzy razy modliłem się do słońca, bom kochał słońce, kolebkę moją, matkę moją, moje święte łono.

Bezgraniczne szczęście i bogactwa bez miary sypało szczodłą dłonią na syna swego.

Po wszystkich morzach dęły się białe żagle mych okrętów, a często, gdym

z tarasu mego pałacu patrzył na morze, przesuwały się okręty przed moimi oczami, gdyby niezliczone stado białych albatrosów.

Po wszystkich krajach stali bojownicy moi, których słońce w pustyni wylęgło, czarne plemię olbrzymów, wykarmionych mlekiem lwic, a gdy przed tarasem mego pałacu zagrzmiały trąby niezliczonych hufców, to ziemia ugięła się pod ich ciężarem, a na ich srebrnych tarczach i hełmach wykrzykiwało słońce radosne hejnały.

I nic nie było pod słońcem, co by się nie korzyło przed moją potęgą.

Aż jednego dnia, gdy szeregi wojsk moich wróciły z dalekich wypraw, przystąpił najstarszy wódz przed mój tron i rzekł:

Panie! poszliśmy daleko poza granice Twojego państwa. Daleko poza trzy morza, które kraje Twoje oblewają, powiozły nas Twe okręty, aż dotarliśmy do granic świata. I tu na zrębie świata, gdzie ziemia się kończy, wkroczyliśmy w jakiś dziwny kraj.

Blask słońca tam nie grzeje, a słońce stoi nieruchomo na niebie gdyby olbrzymi topaz. Dzień zda się być wiecznym mrokiem, a z niewidzialnych źródeł promieni ziemia mętne światło, co niechętnie się wgryza w mroczny cień.

Łupu nie znaleźliśmy żadnego, bo to jest kraj cieni i mroku. Ziemia nie przynosi owoców, a lud ten nie z naszego świata.

Alem bał się, o Panie, stanąć przed Twoim majestatem z próżnymi rękoma.

Więc wziąłem na okręt dziewicę z tego kraju, bladą, jak nasze noce

księżycowe; jej głowa tak jasna, jak gdyby słońce się na niej stopiło, a głos jej tak cichy, jak pieśń, którą wiatr w wieczornym zmroku przez morze przewieje, i tak tajemniczy, jak najskrytsze uczucie, które się jeszcze myślą nie skalało.

Widzę Cię, jak idziesz wolnym i cichym krokiem przez rozstępujący się szereg moich wódzów.

Pomnę: było to, jak gdyby listki z róży opadały, gdy ją wiatr muśnie – było, jak gdyby ciche perły deszczu jesiennego w ciemnej nocy łkały – było, jak gdyby się cała wieczność głębokim westchnieniem po niebie prześlizgła.

A stała się cisza w sali, cisza niebieskiej godziny, gdy całe przestworze wsłuchuje się z zapartym oddechem oczekiwania w przepotężne zapasy świtu ze zmrokiem.

I szłaś coraz wolniej i coraz ciszej, płynęłaś jak najskrytsze echo wieczności, i coraz bliżej... Czułem, jak się cofałem w tajemnej trwodze, jak cała sala w tył uciekać się zdawała, jak mglisty blask zapętniał komnatę...

Naraz stanęłaś.

A teraz widzę Twoje oczy we mnie wpatrzone, ciemne jak otchłanie niebieskie, smutne jak poszum wiatru jesiennego w nagim parku, a słodkie jak jaśnienie morza w ciemnych nocach.

Zapomniałem o mej potędze, zapomniałem o mej mocy, którą światło porodziło; widziałem słońce stojące na niebie gdyby olbrzymi topaz, a na ścianach zdawały się wyrastać olbrzymie martwe paprocie. Całe moje bezgraniczne państwo stopiło się w spowiciu naszych oczu w jeden marny pył słoneczny, padłem przed Tobą na twarz, a Ty, niewolnico moja, stałaś się

panią i królową moją.

Przyszłaś z mrocznych oddali, gdzie słońce świeci smutnym blaskiem rozstania, czerwone jak szafran. Pod Twoim niebem szłaś w tej wiecznej pomroce, jak się idzie w dziewiczych lasach moich krajów pod gęstymi splotami lian i rozłożystymi liśćmi tysiącletnich palm, co wszelkie światło głuszą.

Z kraju wiecznych cieni przyszłaś do mnie, z kraju, co przypomina dawno już zapadłe światy. Twoje morza od dawna zamarty i lśnią posępną barwą zielonego opalu. Twoje góry, pełne zmor i upiorów, zapadają w dziwnie poplątanych łańcuchach w morze, a zieleń Twych lasów, to omszała patyna, jaka miedziane kopuły moich lasów pokrywa.

Przyszłaś jak promień, co się z miliona lat odległej gwiazdy na ziemię zabłąka.

Spłynęłaś, jak sny spływają na serce, syte bólu i rozkoszy.

Wiatr Cię przewiał przez morze, jak przewiewa "Anioł Pański" dalekich dzwonów w śniegiem jaśniejących wieczorach zimowych. Nie słyszy się wtedy dźwięku, ale czuje się dzwony w sercu, jak łopot skrzydeł przebłyaskujących wspomnień.

O pani moja – przyszłaś do mnie w słoneczne cuda mojego państwa, w straszne żary do białą rozpalonego słońca, co rzeki wysusza, przyszłaś do mnie tak cicho i tak smutnie, jak noc, gdy na zbolełe serca krwawym smutkiem spływa.

O pani moja – przyszłaś w moje kraje, gdzie nawet w nocy parny upał ogniem przesyconej ziemi dech w piersiach zapiera, a gwiazdy płoną jak krwawe

rumieńce febry, które rozwścieklone serce wszechświata na niebie wypieka.

Twoje oczy patrzyły z pytaniem, pełnym lęku i przestachu, w te słoneczne odmęty ojczyzny mojej.

Krwia zachodziły od pożaru słońca. Twe ciało paliło się jak w gorączce, a na skroniach nabrzmiała sieć żył, jak gdyby Ci je rozerwać chciała.

I skryłaś się w najdalszych głębiach mego pałacu, ciężkim jedwabiem zasłoniłaś okna, a wszelki odgłos głużyłaś dywanami, w których nogi tonęły.

Jeszcze Cię widzę, jak idziesz cichym krokiem lęku przez szeregi ciemnych komnat, jeszcze słyszę odgłos Twych kroków jak gasnące akordy harfy, jeszcze gra muzyka Twych ruchów niespożytą piękność w mym sercu.

A w Twych jasnych włosach chwieje się czarna róża. Smutkiem Twego czoła trawiona, chwieje się w bladym jaśnieniu Twych włosów.

I kochałem Cię jako wspomnienie czegoś, com dawno zapomniał, com kiedyś przeżył, gdym razem z Tobą w prałonie pił wieczność.

Kochałem Cię – Ciebie jedyną – i w strasznej trwodze czuwałem nad Tobą, by mi Cię słońce nie zabiło.

I zapragnąłem mieć taką moc, by zakląć niebo w chwili, gdy zmrok się coraz wyżej na nim piętrzy, a ziemia parną miłość słońca z powrotem ku niebu promieni. – Och, tę godzinę, niebieską godzinę zadumy i tęsknych upojeń przykuć na niebie, gdy w sercu błędne sny się rozmajają, a jego tęsknota wybiega daleko poza wszelkie dale, daleko poza góry, co dziwnie rozwichrzonymi szczytami w niebo krzyczą, daleko poza morza, co się same

w siebie zapadają, daleko poza upiorne cuda słońcem przeżartych stepów mego kraju.

I zapragnąłem mieć taką moc, by móc poślubić wit ze zmrokiem, niepojęte barwy rozlać po sklepieniu niebieskim; nowe niebo pragnąłem rozesać nad ziemią, by Ci żaden dzień białym światłem duszy nie mącił, a żadna noc nie kielznała Twego tęsknotą rozpalonego wzroku.

Och, niebo, nowe niebo bez słońca, niebo jaśniejące zielonym światłem nocy polarnej, tajemnicze niebo z mrocznych świtów i zmroków spowite.

Począłem przeklinać słońce!

W ciemnych komnatach siedziałem przy Tobie, widziałem, jak oczy Twe w przeczuciu śmierci coraz szerzej się rozwierały, jak twarz Twa przezroczyściła i stała się jasną, tak jasną, jak twarz dziewicy, konającej w upojeniu miłosnym.

Aż wreszcie po długich dniach trwającej rozpaczki znalazłem słońce, które by Ci słońce Twego kraju przypominało i unicestwiło chytrą moc mego słońca.

I wysłałem posłańców na wszystkie strony świata, by szukali kosztownych kamieni, z których Ci to nowe słońce stworzyć miałem.

Z Indii przywiozły moje okręty olbrzymie diamenty, pyszne i czarne jak skamieniałe światło, chłodne jak ręce umierających dziewczyc, a kojące jak szerokie liście nenufarów.

Z Grecji przysłano niebieskie szafiry, które kiedyś zdobiły półksiężyc Artemidy, czyste i słodkie jak Twoje serce.

Kapłankom Galów wydarto ich święte szmaragdy, z których przyszłość czytały, szmaragdy, co w sercu płomienie miłości niecą, a przed upojonym wzrokiem przesuważają niepojęte rozkosze raję.

Asyryjskim Hakumim odebrano podstępem i przemocą chryzolity, co szwały koją, rozpędzają nocne widma, a rozpasane burze w przedwieczne cisze kołyszają.

Z nieznaných krajów przy wlekli niewolnicy moi nieprzebrane skarby: czarne agaty z białymi żyłkami, zielone hiacynty z czerwonymi pręgami i ciemne jak otchłań jantary, co moc nad ziemią, a nawet nad bogami dają.

Całą ziemię poszarpano w kawały, by znaleźć rzadkie a drogie kamienie, wszystkie morza przeszukano, by znaleźć perły i korale, a w ciemnych Twych komnatach gromadziły się niesłychane skarby: kamienie, na których się kleiła jeszcze krew kapłanów i czarowników, beryle, co umarłych wskrzeszają, oryty, co w sercu nędzarza jad rozkoszy szczepią, głuchoe chalcedony, co wieczną młodością śmiertelnych darzą.

A potem znowu kamienie zięjące zniszczeniem i wściekłością jak oczy głodnych tygrysów: czarny onyks, który wszelkie otchłanie bólu i rozpaczy otwiera, mętny opal, co wokół mózgu białe mgły obłędu roztacza.

A było jakby się tysiącznobarwne, zastygłe gwiazdy zlały w jedno olbrzymie martwe słońce.

Z posępnym lśnieniem agatów i orytów zlewała się smętna a bolesna toń światła fioletowych ametystów. W pyszne świetlane dytyramby diamentów wślizgiwał się ostrym promieniem wilgotny chłód onyksów, zielonawa roztecz topazów tańczyła z hiacyntami rozpasane fanfary światła, o obcych gwiazdach śniły szmaragdy, a w niebieskim świetle mroku promieniały szafiry

swą dziewiczą czystość.

A w rozszalałym rozmęcie światła, w dzikim rozgwarze blasku, w płomiennym zgiełku diamentów, w tym krzyku i wirze rozwścieczonego słońca szłaś ku mnie z głęboko na piersi spuszczoną głową, stanęłaś – i cichy smutek rozlał się na Twym czole:

Panie! nie tego słońca mi potrzeba. Daj mi Twoje słońce. Przeklnij Twoje słońce, matkę Twoją, Twoje święte prałono, a straci moc nade mną.

Drgnąłem. Zdawało mi się, że ziemia mi się pod nogami usuwa, że posady mego pałacu się zatrzęsnęły, że ciężka posowa się nad moją głową zarywa.

Było, jakby całe niebo na mnie spadło. Tylko lśniące powodzie światła kamieni pryskały tysiącznobarwną pianą w moich oczach.

A wciąż czułem oczy Twe nieruchomo we mnie wpite z ciężkim milczeniem, co jak olbrzymia błyskawica po ścianach się rozlewało.

A milczenie zapełniło cały pałac, pochłonęło światło i blask, kamienie zagasty, a w głuchej ciszy słyszałem bicie Twego serca jak kołatanie u bram wieczności.

Czułem, że muszę coś odpowiedzieć, a jak obce echo odbił się o zimne ściany mój własny głos:

Przeklinam słońce. Nigdy go już ujrzeć nie chcę!

I wzięłaś moją głowę w Twoje ręce, słowa nie rzekłaś, czułem tylko gorący pocałunek, co w drżącym pragnieniu po mej twarzy błądził.

I znowu płonęło milczenie wokół zimnych ścian, aż naraz dziki kwiat w radosnym krzyku wytrysnął rozwartym łonem w niebo:

Jam Twoja! Weź, przytul, zabij!

Od tego czasu kochałaś mnie.

Miłość Twa była biała i czysta i miękka jak skrzydła mewy polarnej.

Czułem Twe serce, jak żarem mego słońca namiętnie na mej piersi oddychało, a w krew moją wspaniałaś mi dzikie raje, wspaniałaś obce czary, słowa obłędu i upojenia, słowa, które serce moje pieściło, całowało i tuliło, słowa, których nie rozumiałem, ale które dusza moja widziała nagie i żyjące, które raz już kiedyś przeżyła, gdy wszechistnienia śniła początek.

I byłem szczęśliwy. Byłem szczęśliwy, chociaż czułem, że zagłada nade mną wisi, że zbliżają się chmury, pełne czerwonych błyskawic, zniszczeniem brzemiennych.

Nieskończone godziny spędziłem u Twych stóp. Czasami krzyk strachu wdierał się w krtań, czasami rozpacz żłobiła długą, upiorną ręką głębokie bruzdy w mej duszy, ale byłem szczęśliwy.

A słońce czekało na mnie, czekało. Od rana do późnej nocy czekało na swego syna.

I szło wolniej jak zwykle, około południa zdawało się stać nieruchomo, a tylko niechętnie zapadało w morze, by niezadługo znowu wypalać zemstę na mojej ziemi.

Co dzień stało nad moim pałacem i czekało, czy nie wyjdę, czy się do niego modlić nie będę, czy nie będę żebrać łaski i przebaczenia.

Ale na próżno czekało. Co dzień silniej nienawidziłem je i co dzień silniej bałem się jego zemsty.

Rok cały spędziłem w ciemnym grobie pałacu.

Nigdy nie mówiłaś o Twej ojczyźnie, ale czułem ją wokół mnie, nade mną, w sobie, boś odtąd się stała ojczyzną moją.

Twoje spojrzenie wcałowało w serce moje upiorną godzinę Twych gór gdyby obezwładniającą trucizną, Twoje ręce wczarowały w me myśli zwiędły smutek Twego kraju cienia i śmierci, a głos Twój przyświecał w mych snach barwą roztopionego opalu, barwą Twych martwych mórz.

Szedłem przy Tobie, to zdawało mi się, że noga moja zapada się w odwiecznych mchach, a ze wszech stron słyszałem Twoje lasy, jak szeleściły w zielonawym blasku omszałej patyny.

A gdy noce przyszły, noce krótkie i jasne jak wzrok tygrysa, co swą klatkę rozszarpał, gdy ręce Twe w błędnej zadumie błędziły po strunach harfy, a tony spływały gdyby niebieskie nitki topniejącego śniegu po bezmiernych obszarach lodu, wtedy rozwinęła tęsknota moja swe spętane skrzydła, mój wzrok błąkał się po księżycem oblanych dachach mego olbrzymiego miasta, wybiegał na morze, rwał się daleko poza krańce nieba, targał się ku słońcu, ku słońcu, co za morzem zemstę knuło.

Och, jak wtedy za słońcem tęskniłem!

Tylko raz je jeszcze zobaczyć, raz jeszcze, gdy pod zachód czerwoną łuną nad morzem się krwawi, raz jeszcze, kiedy pożarem światła się pali na dachach mego miasta, raz jeszcze, gdy w dzikim triumfie zapory nocy rozrywa.

A coś rwało mnie i szarpało, moje serce wykradało się poza morze, chłonęło słońce, którego tak dawno nie widziałem, i w błędnym szale poilo się jego cudem i w krzyczącym uniesieniu witałem słońce, matkę moją.

Ale wciąż od nowa tłumiłem rozpacz mej duszy, a w ciemnej otchłani Twojej żądz konać tęsknota.

Bo czułaś walkę w mym sercu. Za każdym razem, gdyśmy przed świtem wracali do naszych komnat, to czułem, jak ręce Twe mocniej mnie kochały, jak oczy Twe głębiej i goręcej się w me serce wchłaniały, jak co noc ciało Twe płomienniej się przy piersi mojej pieniało.

Ale przyszedł czas, gdy serce me stężało w krzyku za słońcem.

Wzrok mój błędził w mrocznej sali po kryształowych kwiatach, którym Ci na ścianach kazał wyźłobić, a chorzał od zimnego blasku kosztownych kamieni, co w żyły moje lśnieniem pleśni się wświecały.

Ręce moje stały się przezroczyście, a głos mój brzmiał obco i głucho, coraz silniejszym płomieniem buchała tęsknota za dniem, za drgającym żarem słońca, za słońcem południa, kiedy całe państwo moje w jedną pustynię światła się stapia.

A z bolesnym smutkiem nurtował wzrok Twój mą duszę, ręce Twe stały się obce i dumaly o innych światach, oczy Twe zbladły i zwróciły się ku duszy, wsłuchane w jej straszną gęźbę.

Nad miastem stało nieruchomo słońce i lęło mór, głód i zagładę w państwie moim.

Wypalało zboże na polach, suszyło rzeki i jeziora, bujne pastwiska czerwieniały spalone gdyby jedna zgangrenowana rana, ciało ludu mego odpadło, strawione ogniem, w ropiących się ochłapach od kości, a przed moim pałacem słyszałem lud mój nieszczęsny, jak ryczał z głodu i rozpacz, gdyby krwi chciwa hiena, słyszałem jego przekleństwa, co jako ogień siarczany na duszę moją się lały.

Alem nie wyszedł na taras, choć wiedziałem, że słońce dałoby się przebłagać. Nie szedłem się modlić do słońca, bom wiedział, że Ciebie jego zemście poświęcić muszę.

A Ty siedziałaś w najciemniejszym kącie komnaty, drząc z przestachu i lęku, a dźwięki Twej harfy krwawiły fioletową roztecz łkających ametystów.

Wiedziałaś wszystko. I padłaś do nóg mych i jękałaś:

Idź, idź w słońce! Pozwól, niech mnie zabije!

Nie poszedłem. Dusza moja stępiła w nadmiarze bólu.

Aż jednego dnia rozbiło wściekłe plemię ludu mego w spienionym szale bramy pałacu mego i przyczołgało się przed mój tron.

Zadrzałem.

Co się stało z moim ludem!

To obrzydliwe robactwo, obciążone ropiącą się skórą, to lud mój?!

Zakryłem oczy i krzyknąłem w strasznym gniewie: Precz z moich oczu, precz!

Ale lud mój z miejsca się nie ruszył.

I jak na dany znak padł krzyżem cały mój lud przed moim tronem i w dzikim przerażeniu patrzyłem na olbrzymi cmentarz szkieletów na krzyż rozciągniętych.

Potem już nic nie widziałem.

Czułem tylko, jak mnie wynoszono na taras, oczy moje błąkały się w błędnym przerażeniu po głowach trupich mego ludu, obciążonych obrzydliwą skórą, po sterczących kościach rąk, z których ciało odpadło, rąk rozpaczą i błaganiem krzyczących. Widziałem oczy płomieniejące wściekłością zdychających jaguarów, żądnych msty i mordy, a w krwiożerczym szale ryczał mój lud:

Daj nam białą niewolnicę! Na krzyż z nią! Na krzyż! Słońcu w ofierze!

Tak nie szaleje Taifun, kiedy morze z najgłębszych czeluści pod niebo rzuca, a największe moje okręty gdyby słabo sklezione pudełka gruchoce, tak nie szaleje Samum, kiedy góry piasku na moje karawany ciska lub całe piaskiem zalewa, tak nawet nie szalało słońce, kiedy mór i głód w moim państwie lęgå.

A naraz stała się cisza.

Jak gdyby niewidzialna kosa cały naród gdyby snop zboża jednym zamachem podcięta.

Na taras w żar pomorem ziejącego słońca wyszła wolnym i cichym krokiem moja biała niewolnica. Oczy jej były zamknięte, a twarz bólem skrzywiona.

Z rękoma na krzyż szła wolno ku mnie.

Chciałem krzyknąć, chciałem ją porwać w me ramiona, ale jak gdyby wszystko życie we mnie zamarło, stałem nieruchomo i patrzyłem.

Teraz staję, teraz błądzi niepewną nogą po ogniem rozpalonych płytach, jeszcze jeden gwałtowny wysięk: stała się tak białą, że się w słońcu rozpływać zdawała, jeszcze jeden krok, jeden krzyk straszliwy:

U nóg mych padła bez życia...

Straszna była zemsta moja.

Całymi miesiącami pastwiłem się w dzikim obłędzie nad moim ludem.

Tysiące kazałem wbić na krzyż i połem się rozkoszą wściekłego tygrysa nad mękami konania, tysiące poszarpał w kawały święty wóz, na~ jeżony brzytwami, paliłem stosami wokół miasta moich niewolników, ale z radością znosił naród wszystkie chłosty, plagi i męczarnie, bo otóż otworzyło się niebo nad mym państwem, chłodne wiatry przewiały pomór daleko poza trzy morza, a w jednej nocy rozkwitła ziemia w pysznym bogactwie.

Zemsta moja stępiąca, a dusza, co tak długo z krwiożerczym pragnieniem pastwiła się nad moim ludem, obezwładniała bezsilną rozpaczą.

Raz jeszcze przekląłem słońce, raz jeszcze przekląłem to niewolnicze plemię, co się zwie moim ludem, a potem zamknąłem się w najtajniejszych głębiach

pałacu, gdzie jeszcze niedawno Twe blade ręce moje serce do snu kołysały.

I słyszę, jak Twa harfa jęczy, widzę jaśniejące mgły, któreś jeszcze niedawno w gęsty mrok promieniła, i słyszę Twe serce, jak kołacze, puka, wabi mnie i woła do Ciebie, do Twej ojczyzny, gdzie słońce w zmroku rozplywa czerwone jak szafran, gdzie morza lśnią posępnym blaskiem roztopionego opalu, a lasy przebłyskują omszałym lśnieniem patyny. Za czym raz jeszcze księżyc swój bieg ukończy, rozepnie mój okręt swoje białe skrzydła i powiezie mnie daleko poza trzy morza, w mą nową ojczyznę księżycową, do Ciebie, moja biała królewno, do Ciebie...

Rapsod drugi

A otóż nadeszła godzina, błękitem spowita, godzina bólu i tęsknoty. Sny mych nocy zlewają się z jawą dnia, złudną tęczą sennych wspomnień roztajemniczyła się ma dusza, w mrocznych czeluściach wykwitają na nagich gałęziach ciężkie kiście złotego kwiecica, wokół na skałach śpią czarne ptaki złowrogich wróżb, a miliardy gwiazd sieją błyszczący szron na głębie morza.

Nigdy Cię jeszcze tak smutnej nie widziałem.

Tak smutne widziałem pola w Zaduszki. Wiatr miótnął przed sobą zwiędłe liście drzew, gwizdał w zeschniętej trawie, osiadł się na szronem ściętym stepie, posępnie szumiała noc nad grobami, w upiornym milczeniu stały, gdyby widma, nagie topole nad drogą, a w błędne bezdroża ciemności wżerało się blade światło dalekiej chaty.

Tak smutnie zapadało raz słońce późną jesienią. Cały dzień padał deszcz. Cały dzień jęczał na brudnych szybach okien, jęczał, łkał i zawodził, a niebo zwieszało się nad głową ołowianym całunem smutku i beznadziei, i wtłaczało się w duszę rwącą tęsknotą i niepokojem. Nadeszła chwila zmroku, ale słońca widać nie było, tylko jakieś słabe, brudne jaśnienie rozczłogało się z trudem na krańcach nieba i zanikło.

Tak smutną widziałem raz mewę ze złamanym skrzydłem, jak w czasie przyptywu siedziała na zrębie skalistej wysepki. Już przelewały się fale przez skaliste złomy, coraz wyżej piętrzyło się morze, zbita piana opryskiwała białe ciało ptaka, a w niemym przerażeniu patrzyła drżąca mewa na coraz nowe, coraz silniejsze fale, czuła, jak śmierć się zbliża, straszna, nieubłagana śmierć. Raz jeszcze próbowała rozwinąć swe skrzydła, raz jeszcze opadła bezsilnie na ostrej rafie skały, wtuliła głowę między swe białe pióra i w beznadziejnym

smutku czekała śmierci.

I tak smutną słyszałem raz ostrym wiatrem poszarpaną pieśń nad grobem dziecka w mroźnym styczniowym poranku. Suche zawieje śniegu kłębiły się w powietrzu, wiatr ciął drzewa i łamał ich zmarzłe korony, a na małą trumienkę spadały grudy ziemi, spadały i jęczały ostatnią kołysankę.

W niebieskiej godzinie, bólem i tęsknotą spowitej, w gasnących czarach zapadłego słońca widziałem Cię – ale tylko przez błysk sekundy, bo już spłynęłaś gdyby cień ziemi w zaćmieniu słońca i złaś się z czarnym milczeniem nocy.

Spłynęłaś gdyby cień ziemi, tylko jedno spojrzenie wpłakało się w mą duszę, spojrzenie, pełne łkającej tęsknoty, bezsilne i żarliwe jak rozmodlona prośba dziecka.

I rozpieściłem Twe błagalne spojrzenie jak echo najodleglejszych wspomnień szczęścia, jak gasnący dźwięk zerwanych strun – i szukałem Cię – szukałem...

Po wszystkich morzach błędziły me okręty, ale nie mogłem odnaleźć Twej białej ojczyzny; zbiegłem pół ziemi, ale nie mogłem pochwycić Twego wzroku, co w mojej duszy czarownym kwieciem się rozmaił.

O, daj mi Twą rękę!

Korzyłem się niegdyś przed wszechpotężną ręką ludzkości. Najrozleglejsze dale zbliżyła ku sobie, żelazne tęcze rozwiesiła nad czelustną przepaścią, góry poprzewiercała, ziemię poryła, rzeki wprowadziła w nowe koryta, w marmurze wskrzesała życie i piękność, w twardym granicie haftowała

tkankę najdelikatniejszych koronek, wszelką piękność stworzyła, spełniła wszelką tęsknotę, – ale czymże mi ta wszechpotężna ręka ludzkości, jeśli czuję Twą białą, wąską dłoń, gdy się jaśniejąca z ciemności ku mnie wysuwa, gdy moje serce obejmuje, jak przeciągły akord rozptakanej harfy, a ponad mętną toń mego życia rozpościera gwiaździstą jaśń Twych złotych splotów!

O, daj mi Twą rękę!

I spojrzysz na mnie!

Widziałem wszystkie cuda i piękność tej ziemi. W łonie wieczności widziałem olbrzymie słońce, gdy lało w nagą ziemię płomienną krew ognia, przeżyłem rozkosze raj, grzałem się w blasku, jaki królewska korona moja roztaczała od jednego bieguna ziemi do drugiego, budowałem piramidy i sprowadzałem na tysiące mil wody morza do pustyni piasku, widziałem, jak ziemia pękała, a wszechistnienie stanęło w pożarze – ale czym mi cała piękność i moc cała, kiedy Twój wzrok na moją duszę pada, czarowne kwiecie w niej budzi, co z szeroko rozwartym kielichem pije tęczę niebieską – zapomnienie!

O, spojrzysz na mnie, jak w onej ciemnej nocy, kiedy ziemia i morze w żałobnej pomroce spłynęły!

Milczeliśmy, ale dusze nasze objęły się i splotły, i dumały, dumały:

o wiecznej ciszy, w której słyszy się rozdźwięk promieni gwiazd w kształt gasnących strun, –

o bezmiernej jasności, kiedy niebo ziemi nie dotyka, a wzrok bezgraniczny i bezcielesny we wszechświatach tonie, –

o omszałym przepychu odwiecznych sarkofagów, w których świecą pleśnią
popioły ciał królewskich, —

o cichych morzach, co śpią w martwej jak lustro, czystej pomroce, —

o milczących ptakach, co bezgłośnie z wiecznie rozpostartymi skrzydły mkną
przez bezsłoneczne dale, —

o zmarłych miastach, których cichego zmroku nie maści światło ni ciemność,
o miastach bez cieni, co żyją odbłaskiem niewidzialnych gwiazd...

Tak siedzieliśmy zadumani i cisi, śniliśmy snem nie z tego świata, bo nie ma
równej piękności, jak śnić o zmarłym przepychu, oprzędłym pajęczyną, o rdzą
przeżartych koronach królewskich, o zielonym blasku starością zapleśniałych
wspomnień.

Siedzieliśmy, a w sennym zadumaniu błądziły długo Twoje oczy, aż wświeciły
się w moją duszę, Twoje senne, pięknocią upojone oczy —

raz jeszcze spojrzuj tak na mnie!

I przemów do mnie!

Chętnie słuchałem, kiedy na tarasie mego pałacu, w świetle księżycy, jakaś
obca niewolnica strącała srebrnymi drążkami ze strun cytry rozplakaną pieśń
tęsknoty, ciemną pieśń, jaką szumią palmy w samotnych oazach, jaką płaczą
wysmukłe cyprysy nad zapadłymi grobami; z szumem stalowych skrzydeł biło
me serce, gdy me wojska w groźnych rytmach surm i rogów mosiężnych
ciągnęły na wojnę; długie godziny wsłuchiwałem się w posępny rozgwar
morza, aż mi dusza drżała z pokory i strachu przed głosem wieczności, —

ale czym mi wszelki dźwięk, czym wszelkie upojenie pieśni i tęsknota cytr i harf, kiedy słyszę Twój głos, gdy czerwonym światłem gasnącego słońca tka bogaty przepych mych dumań, a w me sny wplata pałające żary jesiennych kwiatów...

Och, przemów do mnie!

Błądziłem po wszystkich morzach, a nie mogłem odnaleźć Twej białej ojczyzny księżycowej; wiele krain przeszedłem, a nie mogłem pochwycić Twego wzroku; słyszałem ludzi, ale nigdy nie zadrgał dźwięk Twego głosu na strunach mego serca...

Wszystko tylko snem, jednym długim snem.

Widziałem, jak w brzasku porannym znikło moje potężne państwo w mglistych oparach wilgotnych łąk, na mojej głowie stopiło słońce królewską koronę, w złotym pyłe słonecznym rozsiały się moje pałace i ogrody, i znowu łamie się gniew rozbitych fal, i znowu noc, ciemna noc nad morzem.

Głębia walczy z zatorami, wyrzuca w górę czarne odmęty, dwie gwiazdy wdzierają się w chmurną noc i rozpryskują błyszczący szron na morze.

A z wolna rosni wokół dwóch gwiazd czerwone tęcze, sklebiają się w chmury, leją się po niebie falami ognia i kołyszają się na nim płomienną lawą.

A dwie gwiazdy – to dwa wściekłe ogniska, wdrażają się w niebo gdyby dwa olbrzymie kratery, drą w strzepy ciemną noc i leją potoki ognia na morze.

I chwilę stoi morze w kipiącym potopie płomieni, zarzuca swe ogniem rozszalałe ramiona na niebo, wspina się na jego krańcach w górę, a ze wszech

stron niebo zdaje się wchłaniać w swe głębokie ogniem buchające wary.

A w tym pożarze wodnych bezdroży widzę Cię z wyciągniętymi ramionami, z płomieniejącymi włosami, co jak ognista fala rozwarkoczonych komet po niebie się rozwiały.

Z wolna gaśnie płomienny cud, niebo dogorywa, dwie gwiazdy tlą mdłym blaskiem, ale widzę Cię jeszcze, widzę jaśniejącą Twą postać i złoty krąg światła wokół Twej głowy.

W takim świętym blasku raz Cię już widziałem, gdy moje potężne słowo z łona wieczności do życia Cię zbudziło:

Bo byłem bogiem.

Byłem wszechwolą ziemi, przez którą się wiecznie od nowa przetwarzała, byłem siłą, rozdzielającą wody od ziemi, byłem rozumem, który wykreślił dla gwiazd niezmiennie tory, i byłem sercem wszechświata, jego tętnem i karmą.

Byłem słońcem, a wokół mnie krążyły światy w niezmiennym pędzie, byłem potęgą czasu, co skrzepiła ogień, skruszyła skały i stworzyła urodzajną glebę, byłem mądrą opatrnością, co przygotowała łono matczyne dla nasienia wszechżycia.

Aż nadszedł czas, kiedy ma twórcza wola osłabła, moje myśli błądziły nad oceanem, zawisły niebem bezsiły nad jego przestworzem albo zbiły się w chmurę i siadły na dzikich skałach i w smutnym zadumaniu patrzyły w słoneczność bezprzestrzennych dali.

A gdym kąpał moje dzieło w białym świetle, gdym roztopiał dale w błękitnych

mgłach zmroku, gdym zmęczony dniem gasił światła i otulał ziemię w czarne żgło nocy, gdy jedna wieczność po drugiej błyskawicą prześliznęła się przez mą duszę, ogarnął mnie niepokój, bom czułem, że jeszcze jedno wielkie pragnienie czeka swego: "Stań się!"

I długo myślałem o spełnieniu tej ciemnej tęsknoty, ale daremnie kruszyłem światy, a z ich skorup tworzyłem nowe, daremnie niszczyłem porządek wszechrzeczy, rzucałem gwiazdy na nowe tory, przyspieszałem ich bieg i nowymi światłami krzyżowałem ich drogi, daremnie zmieniałem noc na dzień, gasiłem światło i na nowo je wzniecałem, ale nic nie mogło zaspokoić mego pragnienia, nic nie spełniło obietnic mej tęsknoty, i smutny i zmęczony patrzyłem na mój bezpłodny trud.

Aż wreszcie nadeszła chwila, gdy przeczute tęsknotą słowo miało stać się ciałem, wola moja ogarnęła wszechświat, wstrząsnęła nim, jakby go z posad wyrwać chciała, w nocy wielkiego cudu błysnąłem jak słońcem, piorunem słowa, co światy tworzyło i w proch je kruszyło, i z wielką mocą krzyknąłem: "Stań się!"

I powstałaś!

A ze źródła mej potęgi spływała bezgraniczna łaska w Twoją duszę, aż całą ziemię objęła, tysiącem zmysłów wnikała w jej najskrytsze tajnie, zatrzymywała gwiazdy w ich biegu, odczuwała najtajniejsze dale przyszłości, a łaska moja płynęła na Ciebie, płynęła, aż moc Twoja mojej się zrównała.

Dałem Ci moc i piękno, i byłaś tym na ziemi, czym ja byłem na niebie.

Kochającymi rękoma sypałem na Ciebie smętny blask zadumanych gwiazd, kąpałem Cię w świetlistych roztoczach srebrnych księżyców, nad Twą głową rozwiesiłem niebo cudu i dziwów, a nagą ziemię w raj zamieniłem.

A z woli mej poryła woda ziemię w szerokie bruzdy, stopiłem odwieczny śnieg na szczytach gór, zwałem lodowce w morze, gorącym strumieniem utorowałem drogi przez lodowate oceany, przepaliłem ziemię mym światłem aż do dna i z drżącym pragnieniem rozwarło się jej łono dla siejby życia.

Pełnymi rękoma siałem zarodki na wiosenną ziemię. A gdzie niedawno kruszyły się przez całą wieczność nagie góry, rozkwiciły się tęczowym przepychem rajskie ogrody, gdzie niedawno dzikie burze piętrzyły góry piasku i rzucały je w niebo, rozłożyły się rozkosznie łąki i bujne pola złotych zbóż, a gdzie skaliste złomy sterczały najeżonym grzebieniem, wybiegły w niebo dziewicze lasy olbrzymich palm i kokosów.

Po nagich ścianach skał pięły się rozkoszne winnice, czarne moczary i bagna porosły olbrzymim liściem i żółtym kwieciem wodnych róż i nenufarów; wokół jezior wybuchały lasy, trzciny i sitowia, a czeluście i urwiska pokryły się nieprzedartym gąszczem bluszczu.

Ale nadaremnie wyczerpywała się moja potęga, by coraz to rzadszy przepych z ziemi wyczarować. daremnie rozniecałem na niebie tysiącznobarwne ognie i tęcze, daremnie tworzyłem nowe cuda i dziwy – wszystko daremnie.

Widziałem Cię smutną i cichą w ciepłych pieszczotach półmroku, owianą oddechem rozkwitłych róż, tęczą gasnących kwiatów spowitą, widziałem, jak błądziłaś w zaczarowanych ogrodach wśród czarnych palm, jak błędny ognik świętojańskich nocy.

Widziałem Cię smutną i cichą, jak spływałaś z gór, gdyby nikłe jaśnienie mgieł na mrocznych dalach.

Widziałem Cię, jak dumiałaś nad brzegiem morza, rozwiana w cichych pieśniach fal, co echem dalekich snów na brzegach przebrzmiewały.

A gdy wszystkie ognie na wierzchołkach gór pogasty, gdy ostatnie blaski haftowały złote szlaki nad szczytami lasów, gdy się ostatnia pieśń rozwiła, gdy w nocnej ciszy przekwitł ostatni dźwięk, wtedy czołgało się morze do Twych stóp, z wolna obejmowały Cię fale senną pieszczotą, brały Cię i niosły ku nieznanym brzegom.

Jak we śnie szłaś na morzu, Twe oczy szeroko rozwarte błędziły w mrocznych dalach, a przez gładką toń wlokłaś za sobą jaśniejącą falę Twych złotych włosów.

Błądziłaś samotna, strojna w przepych mego rajy, a serce Twe więdło w tęsknocie jak kwiat w żarach słońca podzwrotnikowego.

W Twych snach wyciągałaś swe blade ręce ku nieznanemu Bogu, oczy Twe szukały tego Boga, którym oddychałaś w woni swych ogrodów, którego piłaś w pieśniach oceanu, a promieniłaś go w dale światłem, co Cię opływało.

A gdy raz znowu Twe włosy zmrok morza jaśnieniem białych gwiazd przeświecały, spadła noc z Twych źrenic i ujrzałaś mnie na przeciwnym brzegu.

Chwilę patrzałaś zdumiona, przez chwilę rozbłysła łaska mej miłości ognistym słońcem wokół Twego czoła, a naraz, jakbyś się roztopiła w zorzach wieczornych, spłynęłaś w górę.

Tak opada rosa, gdy wiatr poranny przez łąki przewieje.

Tak przekwita na brzegu ostatni akord fal, gdy dalekie wiosło trąci w szklistą powierzchnię jeziora.

Tak gaśnie w ciemności płonący warkocz spadającej gwiazdy, i tak spływa potop pijanych barw, gdy na niebie noc milczenie rozściela.

I często tak myślę i marzę, i śnię o moim i Twoim początku, i szukam Cię i pragnę.

Zgastaś jak błędny ognik, rozwiałaś się jak opary mgieł w błękicie brzasku,

Znikłaś, zagastaś, a może umarłaś, ale wciąż Cię widzę, na jawie i we śnie, w słonecznych roztoczach i gasnących mrokach. Słyszę Twój głos w huku burzy i w rozkołysanej tęsknocie zasypiającego morza, widzę, słyszę Cię, a znaleźć Cię nie mogę.

Czasami siedzisz na krawędzi mego łoża i patrzysz ze smutnym uśmiechem w moje półsenne oczy. Twa łkająca ręka głaszcze me włosy, Twe usta błędzą wieczorną tęgą po moim czole, a gwiazdy Twych oczu piją pragnienie w mej krwi.

Czasem widzę Cię na spienionej grzywie fal, gdy w czasie przyptywu morze brzegi zalewa: jak diamentowy szron błyszczy w żarze południa biała piana na złotych splotach Twych włosów.

A w blasku nocy księżycowej widzę Cię na zrębach skał, słyszę Twe ciemne pieśni w takt morza, co Twe stopy pieszcząc oblewa, w szerokich, stepowych rytmach gwiazd, co się połamaną falą promieni wokół Ciebie rozlały. I z wolna stapia się miesiąc na Twej głowie, i w diamentowym dżdżu ścieka na ziemię przez jedwab Twych włosów.

A zamyślona, z cichym uśmiechem chwytasz i rzucasz obiema rękoma świetlaną rosę roztopionego miesiąca w milczenie morza, co się wokół świeci.

I chwytasz i rzucasz obiema rękoma diamentowy pył w połamaną falę gwieździstych promieni i z wolna rozkwita wokół Ciebie w skrami tryszczącym przepychu ślubny pierścień morza.

Kotysze się u Twych stóp, odczepia się od wód, owija Cię, wznosi się kręgiem w górę, wplata się w Twe włosy i jakby diadem ukuty ze światła księżycy i promieni gwiazd owieńcza Twe czoło.

Tak Cię widzę często, Ty oblubienico morza ze ślubnym jego pierścieniem, i kocham Cię, jaśniejącą w kaskadach światła, rozkwitłą w tęczach nocy polarnej, bogatą przepychem klejnotu, co Twe czoło opasał.

Ale gdym podnosił kotwice, gdym żagle rozwijał, by wyjechać ku Tobie na morze, ku Tobie, święta oblubienico morza, tom widział, jak się w pomroce rozptywałaś, widziałem Twe czarne oczy, jak gasły w oddali, a jaśniejąca toń Twych włosów zlewała się z wolna z uroczyskami morza, kędy się święte cuda spełniały.

Już gasną gwiazdy, budzi się morze, a jak echo przebrzmiałego szczęścia rozdzwiękło w mej duszy Twe ostatnie spojrzenie.

Powiędły róże, drżą w błękitniejących całunach nocy, które brzask rozwiewa, a z krzaku głogu opadły liście, jak dźwięki harfy, niewidzialną ręką trącone.

Budzi się morze i dzień się budzi, a jak nikły cień ziemi, rozwiataś się na niebie i zatonąłaś w świtach błękitu.

Po wszystkich morzach Cię szukałem, całą ziemię zjechałem, a znaleźć Cię nie mogłem.

A przecież siedziałaś obok mnie na tronie niebieskim. Droga mleczna była u stóp naszych, promienie wszystkich gwiazd oplotły świetlanymi wieńcami nasze skronie, a oczy nasze nieśmiertelne piły w świętej ciszy boskości niepokalane piękno wszechświata.

Razem z Tobą utraciłem rozkosze raj, i opętany orkanem burz, olśniony potopem błyskawic, co na czarnym niebie ryły runy moich przeznaczeń, niosłem Cię na mej piersi, niosłem Cię, moje biedne dziecię, i szukałem miejsca, w którym mógłbym Cię do snu ułożyć.

I znowu królowałaś ze mną ponad ludami i obszarami, na Twoje życzenie szło tysiące moich niewolników w niechybną zgubę, aby tylko mogli rozpostrzeć u Twych stóp rzadki przepych piękna, całe miasta stanęły w płomieniach, kiedy lękałaś się ciemności w bezsennych nocach, całe miasta z ziemią zrównałem, byś mogła widzieć moje zwycięskie okręty, kiedy do portu wbiegają.

Tuliłaś się do mnie przerażona, oczyma Ukrzyżowanego, gdy już słupem stawały. Na moich rękach wyniosłem Cię z wiecznego miasta, kiedy hordy barbarów rzucały pochodnie we wspaniałe świątynie, a przy mym boku jechałaś na koniu w stal okutym, kiedym w świat ciągnął, by grób święty moją krwią odkupić.

I jak daleko sięga moja nieśmiertelna dusza, widzę Cię wciąż obok siebie. Tysiąc razy rozbiła skorupę mego ciała i ucieleśniła się od nowa, ale wciąż byłem razem z Tobą.

A naraz zrozumiałem.

Naraz wiem wszystko.

Nie byłem bogiem, nie byłem królem, nigdy nie opuściłem tego brzegu, nad którym stoi moja chata.

Och, na tym brzegu spędziłem długie dni szczęścia, błądziłem wśród skał po wąskich a krętych ścieżynach, a w ciemnych przepaściach rwaliśmy rzadki kwiat paproci.

Och, na tym brzegu czułem w mej dłoni gorącą Twoją rękę, słyszałem Twój śmiech, jak płonął cichym jaśnieniem w ciemnych nocach, a sny Twoje były o me serca jak białe skrzydła ptaka.

Nie byłem bogiem, nie byłem królem, bo od pra—początku byłem synem morza, a Ty ukochana — niedościgłym snem, który noc księżycowa, pijana szalem i rozkoszą, śpiewa na lśniących roztozczach wód.

I znowu nadeszła godzina błękitem spowita, godzina bólu i tęsknoty, kiedy morze mi śpiewa bolesną pieśń o Tobie i o mnie, straszny ból moich mrocznych przeznaczeń. I znowu przeżywam wielką moc cudu, kiedy po raz pierwszy Twoje spojrzenie się w mą duszę wświeciło jak świetlany rozbłysk szczęścia i smutku i wiecznej tęsknoty.

Rapsod trzeci

Morze szalało. Parowiec szamotał się w wściekłych zapasach z burzą, ostrym kadłubem rozrznął olbrzymie bałwany, łamał wściekłe nawroty spienionych wałów, a o szyby okien kajuty biły pijane fale z głuchym jękiem.

Myślałem o mej dalekiej ojczyźnie, o posępnych ścierniskach w cichym blasku jesiennych nocy. Myślałem o domu rodzinnym, o gnieździe bocianim, które kiedyś uplotłem na samym szczycie stodoły, zamajaczyły mi tęskne dumy, które mi stara piastunka śpiewała przędąc len w zimowe wieczory.

Parowiec cofał się, by nowym zapędem szturmować spienione wiry morza. Naprzeciw mnie grało dwóch podróżnych w karty, inni spali wokół na ławkach; na wpół śpiący wpatrzyłem się chwilę w obce twarze, wsłuchiwałem się w jednostajny huk maszyn, w wycie trąb dających sygnały. Naraz drgnąłem...

Spostrzegłem drobną twarz kobiety, nieruchomo ku mnie zwróconą, bladą i jasną jak światło miesiąca, spostrzegłem oczy – oczy... Nie pomnę ich kształtu, nie dostrzegłem ich barwy, czuję tylko, jak drobne, błagalne ręce ujęły w drżących piieszczotach moje serce, tuliły je i całowały.

Na chwilę zadrgały jej usta, jakby mi chciała coś powiedzieć, jakby czekała, bym ja jej coś powiedział, ale tylko przez błysk chwili. Znowu twarz jej zastygła.

Tylko jej oczy błyszcząły i wpiły się głębiej jeszcze w me serce. Rwało mnie coś, by powstać i pójść, gdzie mnie te oczy powiodą. Czułem, że gdy powstanę, będą jak gwiazdy płomienieć nade mną taką wielką mocą, że

poniosą mnie przez wszystkie burze i morza.

Nie wiem, jak długo oczy nasze w tym spowiciu milczały. Nie wiem, była to jawa, czy sen? Bo oto przysło światło w jej oczach, głowa jej opadła na poduszkę i znikła w fałdach jedwabnych szalów.

W ścisku, na pomoście prowadzącym do przystani, zniknęła mi z oczu.

Szukałem jej, och, jak jej szukałem!

Od rana do późnej nocy wlokłem się trawiony gorączką i tęsknotą; szukałem jej po wszystkich ulicach rojących się niezliczonym tłumem ludzi.

Dopatrywałem się jej w każdej kobiecie; zdawało mi się, że ją widzę w każdym oknie, jak za mną śledzi, a przed sobą widzę wciąż te oczy z palącym pytaniem, czy nie przyjdę, czy nie pójdę za nią.

I widziałem te oczy, jak się zapalały, jak błyszcząły gdyby węgle żarzące, widziałem je, świetliste białą łuną elektrycznych lamp, a często w pomroku stojąc nad brzegiem morza, widziałem wokół nich tęczowe mgły, jakie się widzi wokół gazowych latarni, gdy się na nie patrzy przez szronem pokryte szyby.

A im dłużej szukałem, tym szersze kręgi roztaczała łuna tęczowa wokół tych oczu, tych dwu gwiazd płomienistych. Na całym niebie rozkwitły dwie olbrzymie tarcze światła, czerwoną mgłą zalegały krańce ziemi, aż w końcu dwoje tych oczu, jak dwa krwawe słońca, zanurzało się w morzu — niedościgłe.

Szedłem pogrążony w potwornych snach. Mógłbym może wyzdrowieć,

gdybym mógł zabić, unicestwić dwoje tych oczu.

Przede mną na złotej misie leżały oczy, dziko rozwarte – oczy, gdyby dwie wściekłe pięście ziejące zemstą, oczy Jana Chrzciciela. Z rozkoszą tygrysicy pastwiła się nad nimi córka królewska, biła je i kłuła te oczy kochanka, które nią wzgardziły. Poiła się ich niemą rozpaczą, ich bezsilną zemstą, aż wreszcie wbiła w nie ostrą, złotą igłę. Dwie nitki krwi trysnęły w górę, oczy podskoczyły w ostatnich kurczowych podrygach, krzyknęły strasznie i stanęły słupem.

Córka królewska zaśmiała się radośnie. – Śmierć tych oczu zdjęła urok z jej serca.

Takim błędnym kołem biegły me myśli, gdym chodził i szukał.

A stojąc znowu pod wieczór nad brzegiem morza, usłyszałem przeciągły głos, jakby go mgły z obcych krain przywiały, głos pełen wabiących pieszczot i nęcących zagadek. Dźwięk jego zdawał się nie mieć żadnego początku, a spływał w nieskończoność, pierścieniem wieczności zlewał się ze sobą.

Naraz dusza ma ogarnęła niepojętą tajemnicę.

Ten raj śpiewały mi oczy, których tak rozpacznie szukałem. Ten raj śpiewało mi morze. A ten głos, który teraz wabił me serce w odległe dale, ten głos wśpiewał i w jej duszę swoje ciemne gwiazdy.

Bo taką rozkosz śpiewa tylko morze.

Tak się poczęła moja święta miłość.

Nigdy go przedtem nie widziałem, choć moje serce często śniło swe błędne sny gdzieś w roztoczach jego mgieł.

Teraz dopiero pojąłem, że od samego początku było we mnie i ze mną, krew mojej krwi, moje dziecko, siostra i oblubienica moja:

Morze!

I nikt tak go nie kochał, jak ja je kochałem.

O, ten cud nad cudami. Słowo, co morzem się stało.

Kocham je, gdy świt się wyzwala z lubieżnych uścisków nocy, swoje krwią obryzgane ramiona na niebo zarzuca, a olbrzymia korona, gdyby w ogniu stojąca kępa koralowa, na całym wschodzie czerwoną łuną się pali. Wtedy się morze wspina na niebo, wgryza się w jego głąb tysiącem purpurowych języków; nad morzem, co z niebem się złąło, wyrastają złote pałace, kwitną czarowne ogrody. Na niebie wicherzą się fantastyczne paprocie, liście palm, jak z płomiennych kryształów ciosane, kielichy orchidei w olbrzymie kiście spowite.

Kocham je, gdy słońce w upalne południe sypie diamentowy piasek na lekko pomarszczoną toń i w rozszalałym zamęcie światła gdyby święta monstrancja skrzy się nad morzem.

Kocham je, gdy burza je chwyta w swe wściekłe ramiona, ku niebu ciska i o skały rozbija, lub spienione jego bałwany gdyby potoki lawy na brzeg wyrzuca

—

ale nade wszystko kocham je, gdy godzina zmroku, krwią i błękitem spowita,

do jego łona się tuli —

kiedy odgłosy dalekich dzwonów wolno, w cichym smutku gdyby płaty śniegu
w bezdenne głębie spadają —

kiedy wspomnienia z cichym szumem ulatujących skrzydeł o niebo trącają —

kiedy smutek tęsknoty na duszę spływa z tajemniczym szelestem spadających
liści, przegryzanych jadem jesieni.

Wtedy je kocham najwięcej, siedzę na stromych ścianach skał i chłonę
wieczność...

Wokół wiekuiście cichych, śniegiem pokrytych gór, stacza noc w czarne
otchłanie swoje ciemne brzemie.

Na głębie morza rzucają skały posępne cienie, co w głuchej ciszy strzegą
grobu zapadłych słońc.

Już wspina się morze lśniącymi mgłami na krawędzie nieba, już ścielą gwiazdy
na zamilkłej toni swe blade sny, niby drgnienie wieczności prześliznęła się
przez niebo krwawa błyskawica i spadła w milczenie, co się wokół morza
święci:

Zapomnij serce, zapomnij!

A z kwiecica wieczności, co na śniegu pysznych gór wyrosło, ulatuje na ciemne
morze oddech pieśni.

Niby wahająca się ręka wysuwa się z wolna cichą modlitwą na wodę, drżącymi palcami trąca o fale gdyby o paciorki różańca, nad ciemną głębią rozwiesza żałobne kiry i słyszę, słyszę świętą gęźbę bólu:

Lat sto, a wszystko przeminie.

A święta msza morza, światło, co z jego dna wykwita i z kielichów gwiazd na powrót do dna spływa, pieśń gór, co łka w żałobnym omdleniu morza, to wszystko ton jeden, jeden sen złoty, jedno szczęście rozpaczne:

Lat sto, a wszystko przeminie.

A oto rozpościera dusza moja swe białe, burzą zwichrzone skrzydła, od jednego krańca nieba do drugiego; ujęła morze w swe ramiona, i pierś przy piersi, w rozkosznym spowiciu, spoczęło morze i dusza moja.

O, nocy upojenia, nocy obłąkania!

Rozpryskujące się meteory wicherzą w mym sercu, z namiętym pożądaniem tulę do mej piersi twój gorączką spiekły zmrok, i piję, chłonę w chciwym pragnieniu moje wielkie szczęście —

O jasna moja — o morze moje!

Nikogo jeszcze morze z taką mocą nie ukochało, z jaką mnie kocha.

Bo moja dusza, toć to morze samo. Te same bezbrzeżne dale, ta sama spieniona pycha, ten sam rozpęd i szal.

Kochało mnie morze i długie lata żyłem z nim razem, jego cichą modlitwą wieczorną kołysałem stęsknione serce do snu, a budząc się wznosiłem się wraz z nim pod świetliste i modre rozbrzaskiem niebo.

A stało się, że razu pewnego, kiedy nadeszła godzina wieczorna, a morze poczęło śpiewać swe święte pieśni, ujrzałem ją, siostrę i oblubienicę moją, której tak długo szukałem.

Oczy jej płonęły jak gwiazdy, a głos jej – wszak to był głos morza, który kiedyś słyszałem nad wieczornym brzegiem...

Przyszła jak gołębica burzą w dalekie strony zagnana, przyszła jak zbłąkana mewa, która szuka miejsca, gdzie by sobie nowe gniazdo usłać mogła.

Tysiące mil przez rzeki i góry szła za jutrznią wieczorną, za gwiazdą, co od wschodu nad morze się wznosi.

A kiedy wyszła z lasu, co rośnie nad brzegiem morza, padła na twarz i zapłakała niemą modlitwą.

Wokół stała się cisza wielka, jakby wszelkie życie w Irwożnej pokorze zamilkło.

I kląkłem przy niej, całowałem jej ręce i stopy, a potem wziętem ją w silne ramiona i zaniostem do mej chaty.

Nogi jej były poranione i krwawiły.

I obmyłem jej stopy i całowałem święte rany.

I odtąd byliśmy zawsze razem.

Wokół nas krzyczały bezgłośnie błyskawice.

Ale w odmęcie naszego szczęścia, w parnych splotach ciał naszych, w namiętym uścisku naszych dusz zapomnieliśmy o piękności morza.

A morze szalało.

Razu pewnego, gdy w ciemnej, jesiennej nocy zwiśta bezwładnie w mych objęciach, zawrzało morze straszną burzą.

Struchlałem. W oczach mi przysły krwawe pioruny, ręce opadły, a dusza z przerażenia oniemiała.

Morze ryczało przeciągłym rykiem, ciskało się o skały z hukiem wodospadów, coraz silniej, coraz wścieklej, jakby je z posadami chciało na brzeg wyrzucić.

W obłądnym strachu wybiegłem na skały.

Wyżej ponad najwyższe szczyty kościołów wyrosły nagle dwie olbrzymie fale. Rzuciły się na siebie jak dwa wściekłe szakale, poczęły się mocować w rozszalałych zapasach, rozbiły się w pianę, znowu w niebo wyrosły, a w ogłuszający huk morza zlewały się straszne jęki rozbitków, piekielny trzask dwóch statków, które morze gdyby dwa okruchy na siebie rzuciło, ryki sygnałów i przeraźliwe wycia o pomoc.

Widziałem jeszcze, jak na szczycie coraz wyżej piętrzącej się fali zakołowało czółno ratunkowe i w przepaść się zwały, a w czarne kłęby chmur, które noc na szal morza stoczyła, wgryzał się bezsilnym drżeniem słaby płomień latarni

morskiej.

Wróciłem do chaty. Spojrzała na mnie pytaniem, jakim się krwawi dogorywająca gazela, oczy jej wpiły się chciwie w mą duszę, pełne lęku i przestachu. Odwróciłem głowę.

Noc całą nie przemówiliśmy słowa. Ale czułem, jak jej oczy wpijały się bólem i niemocą w ciemną noc.

Odtąd gościła nasza miłość i bezwładniała w ciągłych zapasach z obłąkaną zazdrością morza.

A stało się, że morze znowu ciskało z hukiem grzmotów olbrzymie bałwany na naszą chatę. Oczy nasze spotkały się w jakiejś strasznej, rozpacznej niemocy. Jej usta zbieleły, a drżała tak, jako drży serce, świeżo z piersi wyrwane.

Naraz coś ją w tył targnęło, wybiegła na skały i córka burz i szaleńca rzuciła się w odmęty pianą tryskających wirów.

I nagle, jak gdy żelazna pięść osadza rozhukanego źrebca tuż nad skrajem przepaści, stała się cisza.

Kornie opadły bałwany i morze wypogodziło się do dawnej piękności i słonecznego majestatu.

I cichym uśmiechem zabłysnęły przestworza, bo znowu wróciło mu serce.

Bo jej serce było jego sercem.

Morze samo mi to objawiło.

Raz, gdy dusza moja rozplynęła się w smutku nad morzem uczułem nagle bijące serce wkoło siebie, czułem, jak bije o me piersi, widziałem, jak w morzu tonie, jak w szybkim pędzie ponad nim ulatuje i naraz uczułem jego szybkie, gorączkowe drgania wokół mej twarzy niby trzepotanie ptasich skrzydeł w kurczach przedśmiertnych.

Dreszcze przebiegały po mym ciele; serce moje straszną trwogą zdjęte w krtani mi wrastało. Krzyczałem, gwizdałem, by strach zagłuszyć, ale wciąż czułem, jak to serce o twarz moją bije, jak o pierś moją gwałtownie się tłucze.

I serce rośnie — rośnie, jednym zamachem rozerwało gęstą noc i gdyby piorun wpadło do morza.

A teraz puka cała ziemia — drży — trzęsie się. Coraz głębiej wwierca się serce w jej ciemne wnętrze i oto rozwiera się dno morskie i wszystkie krew ziemi, wszystkie rzeki, jeziora i oceany spływają do serca ziemi.

Dusza moja wyciąga długie, drżące ręce w bolesnej tęsknocie. Wdzieram się na najwyższe góry, a na potężny rozkaz mój staczają się z wszelkich gór szczytów lawiny śnieżne w morskie odmęty, aż tam, gdzie niedawno jeszcze lśniły wodne roztocze, zasiniała olbrzymia płaszczyna śniegu.

Bo tak mi tęsknota powiedziała, że w czarnej nocy zobaczę na lśniącym śniegu cień mej gołębicy, przepływający ponad globem.

Ale nie dostrzegłem cienia.

I na potężny rozkaz mój staczają się wszystkie lodowce ziemi, olbrzymie głazy

lodu, aż wreszcie tam, gdzie niedawno siniały bezdroża śnieżne, zazieleniały posępnym opalem bezkresne obszary lodu.

Bo znowuż podszeptęła mi tęsknota moja, że w tej czarnej nocy ujrzę ją nad lśniącym lodem, że wytryśnie jako płomień, jeżeli serce jej jeszcze żadnym pragnieniem ku mnie bije.

I oto, niby ognista nitka wytrysnął naraz płomyk; w jednej chwili rozrasta się w krzew, rozlewa się w ognisko, leje strumienie ognistych warów na bezkresy lodowe. Błyskiem piorunu zamienia się śnieg i lód w jedno morze ognia, święte serce morza poczyna bić i znowu wyrzuca wrzące lawy ognia swą krew: potopy rzek, jezior i oceanów chłoną pożar wszechświata.

I znowu lśnią mgły nad morzem, znowu święci się milczenie światłem miesiąca wokół zrębów ziemi i znowu zlewają się gwiazdy złotymi tętnicami swe blade światło aż na dno oceanów.

Nigdy jeszcze tak jak teraz morze nie kochało. Wszystkie swoje tajemnice mi powierzyło, swoje oczy, swój głos, swoje serce.

Kochało mnie wielką, dziewiczą miłością. Nikogo już nie znosiło na swych falach, niszczyło tysiące pancerników, niby łupiny orzechów, a tysiące ofiar, tysiące potwornie rozkładających się zwłok ludzkich pokryło brzeg skalistej wyspy.

Tylko ja, ja jedyny, Ja, syn morza, syn jego tajemnic, jego burz i obłędów⁷. Ja jedyny mogłem się błąkać po jego bezdrożach. —

I jednej ciemnej nocy wypłynąłem na jego bezdenne otchłanie. Długie, wąskie czółno tańczyło jak fryga po toniach. Ponad ziejące przepaści przeskakiwało

z jednej fali na drugą, staczało się z jednej głębi do drugiej, jak kropla rosy spadało ze szczytów fal w bezdenne gardziele wirów i lotem strzały wlatywało znów na pienne ich grzebienie.

Krzyczałem z zachwytu nad igraszką, jaką morze bawiło swego syna.

Nagle stała się cisza. Morze wygładziło się jak bezchmurne niebo.

I spostrzegłem naraz, jak łódź moja wydłużyła się, rośnie w nieskończoność od jednego brzegu do drugiego; czułem, jak nabiera życia, jak staje się ciałem, jak ciepła krew w nim krążyć poczyna.

Z obu stron wspięło się morze, a dwie ściany wodne gdyby dwa wydęte żagle wrosły w olbrzymie ciało; dwa potworne skrzydła zaszumiały: siedziałem na grzbiecie ogromnego ptaka, co rwał się niespokojnie, jak do lotu.

I naraz zatrzepotały skrzydła i z wolna oddzieliło się morze, co ciałem się stało, od dna. Z ogromnym majestatem rozwinęły się skrzydła jego od jednego krańca nieba do drugiego, morzeptak wzbił się ponad obłoki – i nagle patrzyłem w jakieś przepaściste czeluści, jakaś gwiazda dogorywała niby tłący się wiór:

To ziemia!

I znowu stacza noc dookoła wiecznie cichych, śniegiem pokrytych gór, w czarne otchłanie swoje ciemne brzemie.

Upalna spiekota słońca dogorywa na widnokręgach nieba, kojącym chłodem wznosi się cisza ku błękitom, a jako dreszcz wieczności rozświeca się błyskawica nad morzem.

W nieskończonych oddalach rozptywiają się pobliza, z lśniących błysków
wyplata dusza na rozchwiei wodnej iskrzącą tkaninę snów, a w przeczuciu
wieczności płonie królewską potęgą moje szczęście rozpaczne:

Lat sto, a wszystko się prześni.

Rozprysła się radość, szczęście przekwitło, dawno już prześniło się cierpienie.
Tylko morze zostanie i miłość moja zostanie, co z ciemnych głębin jego
tajemnic w płomiennych snach wykwita.

I znowu roztaczam moje białe, życiem zmęczone skrzydła od jednego krańca
morza do drugiego, w rozręsknione ramiona ujmuję jego bólem spiekły zmrok
i tulę do siebie i piję jego wieczność, moje wielkie tajemne szczęście – O jasna
moja – o morze moje.

Informacje o licencjach

Utwór „Nad morzem” autorstwa Stanisława Przybyszewskiego jest własnością publiczną, ponieważ prawa majątkowe do niego wygasły.

E-book „Stanisław Przybyszewski – Nad morzem” jako opracowanie informatyczne jest udostępniany przez Exerim.pl na licencji [Creative Commons 4.0: uznanie autorstwa, użycie niekomercyjne, na tych samych warunkach](#).

W niniejszym opracowaniu wykorzystano:

1. Na okładce: zdjęcie autorstwa Justyny Diablicy, udostępnione przez autorkę na potrzeby opracowania.
2. W tekście: czcionkę „Lato” autorstwa Łukasza Dziejca, udostępnianą na licencji [SIL Open Font License, Version 1.1](#).

Strona redakcyjna

Opracowanie informatyczne: Mirosław Kukła
w ramach Niezależnego Portalu Kultury i Sztuki [Exerim.pl](http://exerim.pl).



Darmowe e-booki: <http://exerim.pl/ebook/>.